

DOBRA I ZŁA WOLA.

Właściwością ruchu kobiecego u nas jest wybitnie społeczny jego kierunek. Kobiety innych krajów w dążeniach swoich emancypacyjnych mają głównie na celu wyzwolenie się z pod przewagi męskiej, wywalczenie równych z mężczyzną praw. Nasze kobiety dobijają się przedewszystkiem o udział w życiu obywatelskiem i to bez upominania się o prawa, byleby wolno im było spełniać obywatelskie obowiązki, a więc współdziałać w pracy podejmowanej dla społecznego dobra. Nie przesadzając niższości lub wyższości tej, dla mnie osobiście niezmiernie sympatycznej cechy, należy się z nią liczyć przy wszechstronnem rozpatrywaniu kwestyi kobiecej u nas.

Podczas kiedy wszelkie próby organizacyj kobiecych, mające na celu poprawę losu lub domaganie się jakichkolwiek praw, rozbijały się dotąd u nas o nieprzepartą apatyę ze strony samychże pokrzywdzonych, można być zawsze pewnym powszechnego zainteresowania — i to nie tylko w sferach zamożnych t. zw. inteligentnych — ale zupełnie dosłownie zainteresowania kobiet wszystkich klas, wzywając je do jakiejkolwiek akcyi w imię obowiązków obywatelskich. Mówię »zainteresowania« nie współdziałania, bo jak dotąd »uspołecznienie« to naszych kobiet przejawia się więcej sentymentem i »dobrą wolą« niżeli uświadomieniem i czynem.

Mamy »dobrą wolę« jest to i wiele i mało. Wiele — bo nic nie jest silniejszym bodźcem do czynu jak właśnie dobra wola, mało — bo jeżeli nie jest ona jednocześnie wolą zupełnie uświadomioną, kryje w sobie zarodek słabości, który uczyni ją chwiejną i bezpłodną. W pierwszym rzędzie nie ostoi się wobec knowań »złej woli«, która czyha wszędzie tam gdzie rozpoczyna się ruch, praca, reforma, aby w zarodku zgasić i przytłumić iskierki nowego życia. A »zła wola« najrozmaitsze przybiera postaci, byle zniszczyć to co zniszczyć chce. Raz świętem oburzeniem wybucha rzucając w twarz przeciwnikowi zamysły jakich on nigdy nie miał, kiedyindziej ironicznem wzruszeniem ramion miłosiernie tłumioną mimowoli zdradza pogardę, innym jeszcze razem zarzuca wprost złą

wolę tam właśnie gdzie chęci były czyste i dobre — tylko chwiejne i niepewne — nie skrystalizowane w całkowite uświadomienie woli i wypływającego z niej czynu. Najczęściej uderza zła wola potwarzą i szyderstwem na tych, co stoją na czele jakiegokolwiek ruchu, albowiem wiadomą jest jeszcze z Pisma świętego rzeczą że: »uderz pasterza a rozproszą się owce«. Czas jest, żeby przewodnikiem naszym był przedewszystkiem własny nasz sąd, na rozumie, sumieniu i uczuciu szczerem oparty. Jeżeli chcemy, żeby działalność nasza była rzeczywiście płodną i pożyteczną, musimy zaprzestać rządzić się tylko porywem dobrej woli zapalonej sentymentem a nauczyć się rozumieć dzieło i sprawę, w których współdziałać chcemy. Jestto jedyny sposób, żeby zła wola godząc w nas, czy w przewodników naszych, nie trwożyła nas i nie ubezwładniała, ale przeciwnie utwierdzała w przekonaniu o słuszności sprawy, dla której pracować chcemy. Musimy wyrobić w sobie »wolę uświadomioną«, abyśmy siłą naszego sentymentu przemienić ją mogły w pracę twórczą i odradzającą, która szczerze i głęboko wnikając w nasze rany społeczne, oczyszczając je z zakażających i sprowadzających rozkład czynników, oddziałaćby mogła uzdrawiająco na społeczeństwo nasze. Sama »dobra wola« nie wystarczy na to, ponieważ można jej zawsze przeciwstawić »złą wolę« i zniweczyć nią w najlepszej myśli podjęte dzieło.

Ten brak uświadomienia w naszej »dobrej woli« jest powodem, że zapał nasz i szczera chęć do pracy społecznej tak mało wydatne są w rzeczywiste korzyści. A przecie zaradzić na to tak byłoby łatwo. Przedewszystkiem nie porywać się do działania w sprawach, których się dokładnie i wszechstronnie nie zna. A więc najprzód badać i poznawać stosunki społeczne — i to nie z książek, nie z doktryn ujmujących w formułki krańcowo-sprzeczne jedne i te same zjawiska — ale u samego źródła, tam gdzie rany się jątrzą, gdzie krzywda milionem rąk sprężonych męką, zdaje się jednocześnie błagać i grozić, gdzie zabójcze miazmata zatruwają silnych a często dławią już niemowlęta w kołyskach. A potem, potem zastanowić się co czynić należy i to czynić wytrwale, konsekwentnie nie oglądając się na nikogo i na nic. Aby zaś wiedzieć czy czyn dobry jest, należy pytać o to nie tych co myślą tak jak my, ale tych co myślą inaczej. Nigdy nie nauczymy się nic od tych co nam przytakują i pochwalają nas, bo ci mogą nam powiedzieć tylko to co sami wiemy. Nowych rzeczy możemy się dowiedzieć tylko od tych, którzy nas krytykują i stawiają nam zarzuty i to wtedy, jeżeli nie odwracamy się z lekceważeniem od tych nowych dla nas rzeczy, jakie nam mówią, ale sprawdzimy spokojnie czy niema w nich całkowitej lub choćby częściowej słuszności. Tylko wtedy, kiedy wysłuchawszy przeciwników naszych lub tych, których nie rozumiemy, przekonamy się dowodnie, że nie mają słuszności, możemy śmiało i odważnie iść w powziętym kierunku, ponieważ »dobrą naszą wolę« wspiera wola świadoma, a tej »zła wola« w żadnej formie nie poradzi.

Uwagi te nasunęło mi z jednej strony pragnienie, żeby kobiety nasze, wśród których ruch społeczny tak niezmiernie wzmógł się w ostatnich czasach, nie dały się porywać na oślep, za tym lub owym prądem, jaki je w danej chwili uniesie, ale odrazu z zupełną świadomością i poczuciem całkowitej odpowiedzialności szły w pewnym kierunku i do zupełnie określonego celu, z drugiej zaś strony chęć ostrzeżenia tych, co mają »dobrą wolę« od sideł jakie »zła wola« zestawia wszędzie tam, gdzie się nowe drogi toruje. Wyrobienie własnego niezależnego sądu i poddawanie spokojnej krytyce stawianych zarzutów, najpewniej przeciwdziałają »złej woli«, która zniszczyła już tyle porywów »dobrej woli« jeżeli nie były poparte »wolą uświadomioną«. *Marya Turzyma.*

POKRZYWDZENIE KOBIETY W URZĘDZIE NAUCZYCIELSKIM.

I.

Kobieta jest z natury nauczycielką. Przeznaczona na wychowawczynię, czuwającą troskliwie nad swemi dziećmi, spełnia jako matka, obowiąz[illegible] [illegible]erwszej, pełnej poświęcenia nauczycielki.

Matka budzi, kształci i rozwija duszę dziecka, uczy je spostrz[illegible] i mówić. Całe dalsze domowe wychowanie jest także jedną wielką [illegible]

Z tych przyrodzonych pobudek wiele kobiet poświęca się zaw[illegible]cielskiemu. Lecz z zamiłowaniem do zawodu, łączy się także kwe[illegible]czna: kwestya egzystencyi kobiety w tym zawodzie.

Ta kwestya, biorąc rzecz ogólnie, rozmaicie się przedstawia. [illegible] kwitnie wolność i kultura, (Stany Zjednoczone, Anglia, Szwajcarya [illegible]biety na niwie nauczycielskiej niczem nie jest ograniczona.

Przeciwnie państwa tego pokroju, jak Prusy, usuwają, o ile się d[illegible] od urzędu nauczycielskiego, bo według ich etyki państwowej, szkoła [illegible]a być przygotowaniem do życia w koszarach, do bębna i karabinu, więc wszelki łagodzący element usuwają z niej na bok.

W Prusach nawet żeńskie szkoły ludowe są obsadzone w znacznej części siłami męskiemi.

U nas w Austryi, a specyalnie w Galicyi, ta kwestya przedstawia się odmiennie. Kobiety dopuszczono w większej liczbie do urzędu nauczycielskiego, lecz prawie wyłącznie w szkołach ludowych, a pobudką do tego kroku była także... oszczędność, granicząca niekiedy z wyzyskiem pracy kobiecej.

W niektórych prowincyach są płace nauczycielek o 20—40% niższe od płac nauczycieli. W Galicyi tego niema, bo tutaj są wogóle płace tak niskie, że ich dalej ograniczać nie można.

Praktykuje się atoli w Galicyi wyzysk sił kobiety w tak zwanej instytucyi nauczycielek bez kwalifikacyi, a ta instytucya ma swoją historyę.

W kraju, w którym mieszka 4,660.416 analfabetów, w którym 2.500 gmin niema żadnej szkoły ludowej, a płace nauczycieli są niesłychanie niskie, okazał się dokuczliwy brak nauczycieli, bo ukończeni seminarzyści przenosili się gromadnie do innego zawodu.

Tę lukę mogły w znacznej części zapełnić nauczycielki, lecz dla ich kształcenia na kraj 8-milionowy istnieją tylko trzy seminarya, w których nie wolno tworzyć paralelek (!), przez co ilość ukończonych seminarzystek jest nieproporcyonalnie małą.

Temu zapobiega instytucya nauczycielek bez kwalifikacyi. Instytucya ta na tem polega, iż do zawodu nauczycielskiego przyjmuje się panny inteligentne, lecz bez seminaryalnej matury, którą w razie pomyślnej służby nauczycielskiej drogą ministeryalnego zezwolenia, wprost przez złożenie egzaminu kwalifikacyjnego, zastąpić mogą.

Wszystko jednak na to się składa, iż owe nauczycielki (nauczycieli niekwalifikowanych prawie niema) egzamin ten tylko wyjątkowo składają, a to z następujących powodów.

Najpierw ustanowiono dla nich niemożliwie niskie płace, wynoszące rocznie 250 [illegible] Powtóre, są one przeciążone w szkole pracą, do której nie nawykły. [illegible] ie ustanowiono dla nich stałych specyalnych kursów, na których [illegible] przysposobić do złożenia egzaminu. Trzeba też wziąć pod uwagę, [illegible] zycielki tworzą już szóstą część całego personalu...

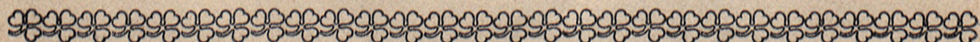
[illegible] więc dzieje? Oto nauczycielki te giną pod ciężarem pracy, całe [illegible] o głodzie, a nareszcie, gdy siły stargają, odchodzą bez żadnego [illegible] ...

[illegible] ą się wprawdzie między temi istotami szczególniej odporne i energ[illegible] aktery, które po długoletniej pracy złożą egzamina i otrzymają pa[illegible] bilizacyę. Wtedy czeka je nowe rozczarowanie. Wszystkie lata służby [illegible] żeniem egzaminu nie są policzalne do emerytury...

Nauczycielka o nadtarganych siłach musi więc służbę rozpoczynać na nowo, aby zginąć wśród twardej pracy, lub z powodu opóźnionego wieku doczekać się na starość kilku złr. miesięcznej emerytury...

Są to fakta, wstrząsające uczuciem ludzkiem. Szersza publiczność o nich nie wie. Zdaje się, nie wiedzą także posłowie sejmowi, inaczej ich sumienie nie pozwoliłoby na taki wyzysk sił ludzkich.

C. d. n. *St. R.*



KILKA SŁÓW O PRZEMYŚLE DOMOWYM*.

Cała Galicya, a przynajmniej postępowsze jej żywioły, rozbrzmiewają hasłem uprzemysłowienia, w przekonaniu, że przemysł wyrwie kraj nasz z dotychczasowej martwoty, wytworzy postępowszą a ruchliwą klasę mieszczańską, zatamuje gwałtowny proces pauperyzacyi, zatrudniając setki tysięcy rąk roboczych; umożliwi europejski ruch robotniczy; wniesie tysiące i tysiące zmian w naszym sposobie życia i myślenia, w poglądach i instytucyach naszych; jednem słowem nada naszemu życiu społecznemu pęd w kierunku, którym kroczą wszystkie kraje cywilizowane...

Ale tylko wielki przemysł zdoła kraj nasz uratować od przysłowiowej nędzy, uzdolni go do podjęcia aktywnej walki o byt z kapitalistyczną zagranicą, podczas gdy teraz cierpieć musi z powodu rozwiniętego kapitalizmu w Austryi i w reszcie państw i biernie podlega konjukturze światowej.

Tymczasem nie wszyscy mówiący o uprzemysłowieniu Galicyi, rozumieją przez to rozwój wielkiego przemysłu. Drobni majstrowie, upadający w ciężkiej walce z kapitałem, zwracają się z wyrzutem do sfer wpływowych, jakoby one chciały uprzemysłowić Galicyę — jednocześnie pozwalając upaść przemysłowi drobnemu. Nasze panie, które chciałyby dorzucić garść pracy do ogólnych usiłowań około podniesienia kraju, krzątają się żywo około wprowadzenia pod chaty wiejskie przemysłu domowego, w przekonaniu, że rozwiążą w ten sposób wielką część naszej kwestyi społecznej, wypłoszą nędzę z pod chaty włościanina i z pod dachów drobnomieszczan, wzmocnią życie rodzinne w tych sferach, godność kobiet, dla których głównie ma być podjętą ta praca — podniosą ogromnie — a co najgłówniejsza pomnożą bogactwo kraju i powagę jego wobec zagranicy.

Z dumą spogląda na dzieło swoje Komitet pań, gdy udało mu się w tylu a tylu wsiach zaprowadzić przemysł guziczkowy, w poczuciu, że spełnił i spełnia obowiązek względem »młodszych« swych siostrzyc, dając im chleb w rękę gotowy.

Taki mały guziczek, a ileż trosk o najprymitywniejsze potrzeby, o podatek i t. p. wywiezie on z pod strzechy chłopa..

Taki mały guziczek, zrobi go ośmioletnia i dziesięcioletnia córeczka domu, stając się jego podporą i pomocą!

A gdy uda się im jeszcze wprowadzić kilka innych gałęzi przemysłu domowego, to wynagrodzone będą ich usiłowania, myślą sobie panie nasze, to zrobią więcej, niżeli tysiączne ankiety, konferencye i zjazdy... cichą, skromną pracą bez rozgłosu...

---

* Ponieważ kwestya przemysłu domowego jest obecnie na porządku dziennym, łaskawie nadesłanym artykułem powyższym otwieramy dyskusyą nad tą sprawą, w przekonaniu, że poddanie jej krytyce i wszechstronnemu oświetleniu może tylko przynieść pożytek. *Przyp. Red.*

Panie nasze nie wiedzą, że przemysł domowy wszędzie tam, gdzie zagnieździł się, stał się z biegiem czasu środkiem najokropniejszego wyzysku, nie wiedzą pewnie, że gdy powołany przez nie do życia przemysł domowy wyjdzie ze stadyum filantropijnej organizacyi pracy, kierowanej dobroczynną ręką i rozwinie się w kierunku, w jakim rozwinął się wszędzie, stanie się plagą i tamą w usiłowaniach socyalno-politycznych postępowych żywiołów?

Nie mogąc chwilowo, skutkiem naszych stosunków bibliotecznych, służyć statystycznymi wykazami, co uczynię w artykule następnym, chcę teraz przedstawić pokrótce, co to jest przemysł domowy, jakie są jego cechy i dlaczego skeptycznie odnoszę się do podjętej przez wymienioną grupę pań pracy, płynącej z tendencyj najszlachetniejszych.

Przemysł domowy, to »taka forma prywatno-kapitalistycznego przedsiębiorstwa, gdzie robotnik jest zajęty u siebie w domu«*.

To ostatnie nie jest konieczne, robotnik w przemyśle domowym może także być zajęty w małym warsztacie, kierowanym przez majstra pośrednika; najgłówniejszą jednak cechą przemysłu domowego jest to, że robotnik pracuje nie na własny rachunek, że choćby nawet posiadał środki produkcyi, tam gdzie one są tanie, to odbyt wyprodukowanych przez niego towarów spoczywa jedynie i wyłącznie w rękach przedsiębiorcy.

Jak długo więc panie nasze, jako Komitet dobroczynny, kierują odbytem, są niejako temi »Zwischenmajsterkami«, to wyzysk tych kobiet i dzieci pracujących jest mniejszy, bo panie nasze przedstawiają także i właścicielom sklepów, zajmujących się sprzedawaniem tych przedmiotów, ich obywatelskie obowiązki i jako odbiorczynie licznych innych towarów, wpływają na kupców. Gdy jednak przemysł ten stanie się intratnem przedsiębiorstwem, gdy zechce konkurencyą zdobyć sobie rynek szerszy i wyprzeć produkty podobne, wtedy konkurencya ta odbije się nad wyraz smutnem echem na życiu i zdrowiu robotnic w przemyśle domowym zajętych, tak jak tego zresztą mamy przykłady wszędzie i u nas, tam gdzie przemysł domowy istnieje.

A przecież widzimy, że celem usiłowań jest wprowadzenie nowoczesnego przemysłu domowego w tem znaczeniu, jakie daje ta powyższa definicya, t. j. przemysłu nakładowego, gdzie robotnik trudni się jedynie produkcyą towaru, odbytem zaś ma się zająć kto inny, nakładca, mający szerokie pole do wyzysku robotnika, bez względu na to, czy pracuje on w warsztacie, utrzymywanym przez przedsiębiorcę, czy też we własnym domu, jako tak zwany Hausarbeiter, robotnik domowy.

Ten przemysł domowy ma z domowym przemysłem dawnym, gdzie wytwórca, rzemieślnik, sam zakupował materyał surowy, wytwarzał towar w domu, a potem sam go sprzedawał, zabierając całą cenę za swój towar, chyba tylko nazwę wspólną. Ten stary przemysł domowy zachował się jeszcze w górach

* Braun's Archiv für soz. Gesetzgeb. u. Statistik.

gdzieniegdzie, kilimki, ruskie hafty, bułgarskie tkaniny i t. p., po części jeszcze pochodzą z owego przemysłu domowego. Odkąd jednak wytwory te cieszą się gustem publiczności i nawet zagranicą znajdują pokup, odtąd i te gałęzie znalazły przedsiębiorców, zatrudniających licznych robotników, pracujących za lichem wynagrodzeniem, podczas gdy ci przedsiębiorcy zarabiają na nich spore sumy...

Dawny przemysł domowy zatrudniał przeważnie, prawie jedynie chłopów, którzy w wolnych od pracy około gospodarstwa chwilach wytwarzali te przedmioty, a za uzyskane z sprzedaży tychże pieniądze kupowali to, czego w domu nie wyrabiano, płacili podatki i t. p.

Nowoczesny przemysł domowy zatrudnia wielką część tych rąk roboczych, które wyswobadza szybko dokonywujący się proces rozkładowy dawnych form w erze produkcyi kapitalistycznej, a więc chłopów, których koncentracya własności ziemskiej wyrzuciła z posiadłości, a więc rzemieślników, którym produkcya fabryczna wydarła sposób do życia, kobiety wyparte z zacisznego ogniska domowego na rynek pracy i t. d. i t. d.

Początek jego więc w wielkich miastach, w centrach fabrycznych i ztąd dopiero rozszerza się on na małe miasteczka i wsi, w miarę, jak mu rąk za mało w mieście i jak rośnie wyzysk, w miarę jak szuka tańszych robotników.

Liczne są pola pracy, w których panuje przemysł domowy; są to zazwyczaj te gałęzie produkcyi, w których nie ma jeszcze maszyn, lub gdzie maszyny są małe i tanie, tak, że można je zakupić dla domów, których mieszkańców zatrudnia nakładca, albo gdzie robotnik, lub robotnica, sama je nawet nabyć może, jak n. p. maszyna do szycia, maszyna do wyrabiania pończoch i t. p.

Kowalstwo, tkactwo, koronkarstwo, hafciarstwo, szmuklerstwo, kapelusznictwo, koszykarstwo, ciesielstwo, stolarstwo, a nadewszystko szycie bielizny i konfekcya damska i męska i wiele wiele innych, oto pola przemysłu domowego ze wszystkimi jego skutkami zgubnymi dla robotników.

I tu zauważyć można, przyglądając się statystyce wzrostu lub ubytku ilości przedsiębiorstw i robotników, zatrudnionych w przemyśle domowym, że upadają te gałęzie przemysłu domowego, które powstały na gruzach upadających rzemiosł dawnych, w miarę, jak wprowadzoną została produkcya maszynowa, tańsza i lepsza. Tak n. p. tkactwo, gdzieś tylko w zakątkach jakichś kryje się jeszcze jako przemysł domowy, podczas gdy inne gałęzie, w których przeważa jeszcze praca ręczna, kwitną dalej jako przemysł domowy, zorganizowany w ten sposób, że na czele warsztatu stoi *majster pośrednik*, pośredniczący między robotnikami, a *nakładcą*.

Najdoskonalszym przykładem tego systemu jest przemysł konfekcyjny.

Nakładca utrzymuje kilka, kilkanaście albo kilkadziesiąt warsztatów, lub daje robotnikom robotę do domu i przez tę decentralizacyę oszczędza sobie kosztów. Szuka najtańszych robotników, a tymi są w pierwszym rzędzie *kobiety*.

Niejedna z dawniejszych gałęzi domowego przemysłu byłaby już ostatecznie pogrzebaną, zostawiając pole wyższym formom produkcyi, gdyby nie potulne i skromne robotnice, które, pracując za bezcen, nie pozwalają nędznym formom produkcyi wydać ostatniego tchnienia.

Gdzie wyzysk największy, gdzie płace najlichsze, gdzie warstaty najnędzniej utrzymywane, tam pracują kobiety. Toteż udział kobiet w przemyśle domowym wzrasta z dnia na dzień, i to wszędzie (we Francyi, w Anglii, w Niemczech, w Belgii, w Austryi) właśnie w tych gałęziach przemysłu domowego, w których maleje udział robotników.

Przyczyną tego przedewszystkiem żądza zysku u przedsiębiorców, którzy tańszymi środkami produkcyi, a zatem oszczędnościami na lokalu pracy, oświetleniu, opale i płacy roboczej, na ochronie robotniczej pomnażają zyski swoje, nadto zaś i to, że robotnica, siedząca w domu, nie schodzi się z swemi towarzyszkami i towarzyszami, z którymiby o położeniu swem pomówić mogła, nie może przystąpić do żadnej organizacyi, walczącej o poprawę bytu robotników, nie przejmuje się ideami, które dziś nurtują w klasie robotniczej.

I właśnie te okoliczności, które ułatwiają rozpowszechnienie się przemysłu domowego, przemawiają przeciw niemu i każą polityce społecznej dążyć nie do organizacyi jakiejś, złagodzenia form jego lub innych paliatywów, lecz do zniesienia przemysłu domowego. Ochrona robotnicza w przemyśle domowym, taka, jaka istnieje w przemyśle wielkim, ograniczenie czasu pracy, podwyższenie płacy, zniesienie pracy nocnej i pracy dzieci, zniesienie pracy lub ograniczenie w gałęziach szkodzących zdrowiu — jest prawie niemożliwą.

To samo i z tych samych powodów powiedzieć można o ubezpieczeniu robotników i robotnic, w przemyśle domowym zatrudnionych.

Jak bowiem dosięgnąć przedsiębiorców, oddających robotę do domów, i robotników, u siebie w domu pracujących? Tembardziej, że tu zmiany są możliwe, wobec tego, że nie ma maszyn i wkładów kapitału. Toteż tylko praca w warstatach może być postawiona pod dozór i tu tylko możliwą jest ochrona pewna, wszelkie zaś usiłowania społeczno-polityczne zatrzymać się muszą przed domem najnieszczęśliwszej kategoryi robotników »domowych« (Hausarbeiter), gdzie najbardziej wyzyskiwanym elementem są kobiety i dzieci.

Przeciwnie robotnicy i robotnice upatrują w każdej próbie skrócenia dnia roboczego, lub wejrzenia w ich stosunki mieszkaniowe sanitarne zamach na wysokość ich zarobku, a odosobnienie ich uniemożliwia organizacye zawodowe, któreby oświecać ich mogły o możności zdobycia dla siebie lepszych warunków życia. Inspektorowie przemysłowi wszyscy zgodnie podnoszą ten brak zaufania, z jakim spotykają się u robotników z jednej strony, którzy boją się o swój zarobek, a z drugiej u przedsiębiorców, stojących na straży zysków swoich i obawiających się podniesienia podatku. Jeśli więc w przedsiębiorstwach »otwartych« w fabrykach często bardzo niejedno usuwa się z pod kontroli, co mówić

jeszcze o przemyśle domowym, wymykającym się nawet sąsiadom najbliższym z pod uwagi.

Cały szereg sposobów ujęcia rozmiarów i warunków pracy w przemyśle domowym, podjętych w Anglii, w Ameryce, we Francyi, w Austryi i Niemczech, okazał się prawie bezskutecznym.

Toteż, im bardziej rozpowszechnia się ochrona robotnicza w fabrykach i warstatach, im znaczniejsze są koszta, które skutkiem tego ponosić musi kapitalista, tem chętniej przedsiębiorca ucieka się pod skrzydła domowego przemysłu, aby tem trudniej mogła go dosięgnąć ręka ustawy...

To też wyzysk w przemyśle domowym wprost do nieba woła o pomstę. Statystyka wykazuje tu płace niesłychanie nizkie, ankiety wyciągnęły na światło dzienne stosunki mieszkań okropne, a udało im się wydostać budżety robotników i robotnic, które wskazują jasno, że ludzie ci żyją często poniżej minimum potrzebnego na najnędzniejsze życie.

Tak wygląda owa idylla domowego przemysłu. Wszak jednym z bodźców do wprowadzenia przemysłu domowego dla filantropów jest przekonanie, że praca w domu podtrzymuje rodzinę. Szczególnie dla kobiety ma ona być zbawienną. Może ona — powiadają oni — spełniać swoje obowiązki gospodyni, wychowywać i dozorować dzieci, a w »chwilach wolnych« pracą zarabiać na utrzymanie. Przytem pomagają jej dzieci, które ciągle są razem z matką, u jej boku kształcą się w rzemiośle i nie narażone są na złe towarzystwo i demoralizacyę.

Nie wiedzą ci filantropi i filantropki te, że praca w przemyśle domowym pochłania cały dzień robotników a często i część nocy. Wszak musi ona nieraz konkurować z pracą maszynową. A i w tych gałęziach, gdzie maszyn nie ma, płaca tak jest nizką, że tylko przedłużeniem czasu pracy robotnik może osiągnąć jakieś możliwe jej podwyższenie.

Matki nie są więc w stanie dozorować swoich dzieci małych i nieraz zastawano te maleństwa przywiązane do stołu lub łóżka, żeby nie upadały i nie odrywały matek od pracy.

A te doroślejsze dzieci, zaprzągnięte w wieku szkolnym już do pracy, zarabiające na tydzień śmiesznie małą kwotę, co tak imponuje filantropom. Już wczas zarabiają — nie pozbawione »ciepła rodzinnego«. Jakiem ciepłem otaczać może matka dziecko swoje, gdy 12—14 godzin schylona siedzi nad robotą w nędznem wilgotem mieszkaniu, drżąc każdej chwili, czy pracodawca, przeglądający produkt jej pracy, nie znajdzie w nim »feleru« i nie ściągnie jej z płacy, lub zupełnie zapłaty odmówi! I takich wypadków moc wedle sprawozdań inspektorów fabrycznych.

Już sam fakt, że małe dzieci zaprzągnięte bywają do zarobkowej pracy w wieku, w którym dzieci sfer zamożniejszych używają pełnej swobody i rozkoszy, przejmuje zgrozą. Praca dzieci we wszystkich krajach cywilizowanych, jest zakazaną; w przemyśle domowym zaś kwitnie w najlepsze a co najsmu-

tniejsza uważaną jest przez ludzi, biorących przemysł domowy ze strony sielsko-poetycznej za coś bardzo wskazanego.

Ileż to razy słyszeliśmy z ust naszych pań, które wprowadzają przemysł domowy, że mała dwunastoletnia dziewczyna zarobić może dla domu 8—10 złr. miesięcznie, przyczem z zadowoleniem dodawały, że te dziewczęta stają się podporami domów swoich. Na to jak ta praca podkopuje zdrowie dzieci nie zwnócono wcale uwagi.

Właściwie należałoby nie wprowadzać lecz starać się o zniesienie przemysłu domowego. Jak długo to osiągnąć się nie da, władze powinny się jąć wszystkich środków, aby ją ograniczyć i ochronić, świadomi zaś robotnicy dołożyć muszą wszystkich starań, choćby we własnym interesie, aby jaką taką wprowadzić tam organizacyę i nieść uświadomienie między tych najbardziej wyzyskiwanych robotników i robotnic.

Wydatna ochrona robotników i robotnic w fabrykach i warsztatach, krótki dzień roboczy, urlop w ostatnich miesiącach ciąży u robotnic i w pierwszych miesiącach po urodzeniu dziecka, przytułki dla dzieci blizko fabryk, hygieniczne mieszkania i t. p. snadniej zdołają wrócić robotnicę rodzinie i dzieciom, umożliwią jej porządne prowadzenie gospodarstwa i wychowanie dzieci, aniżeli dzisiejszy przemysł domowy. *Dr. S. P.*

UDZIAŁ KOBIET W ŻYCIU POLITYCZNEM W ANGLII.

Wystąpienie na widownię polityczną »Ligi pierwiosnka«, niespodziewana i wydatna pomoc, jaka wykazała ona torysom, zniewoliły stronnictwo liberalne do walki tą samą bronią, do przeciwstawienia tym *habitations* (sekcyom lokalnym) ligi — liberalnych stowarzyszeń kobiecych. Ruch rozpoczął się samorzutnie na północy (w York), a szerząc się coraz bardziej, powołał w r. 1886 już taką liczbę stowarzyszeń do życia, iż okazała się potrzeba połączenia ich w federacyę.

Organizacya ma tu charakter inny, niż w lidze. Zbudowana na zasadzie reprezentacyi, daje sekcyom lokalnym samorząd zupełny a przytem pod dwojakim względem. Nietylko bowiem stowarzyszenia lokalne nie są poddane autokratycznemu kierownictwu władzy centralnej, ale mężczyźni nie posiadają tu żadnej władzy, która na wszystkich stopniach spoczywa w rękach kobiet.

W samym charakterye działalności różnica między temi stowarzyszeniami a Ligą jest ogromna i zasadnicza. Zstępując w wir walki politycznej, kobiety z obozu liberalnego, postawiły sobie cele zupełnie odmienne od celów pań z ligi i, przyznać trzeba, o wiele szlachetniejsze. Ich propaganda nie dąży tylko do kaptowania wyborców, którzyby swym głosem zapewnić mogli w ciałach ustawodawczych i w rzędzie tryumf zasad liberalnych. Pragną one przedewszystkiem obudzić w kobietach ducha obywatelskiego i interes do życia politycznego. O ile liga nie przebiera w środkach działania, o tyle znów stowarzyszenia liberalne starają się przemówić tylko do inteligencyi kobiet oraz ich zmysłu moralnego. To też

niema u nich całego owego aparatu symbolicznego i tych emblematów, wszystkich tych szumnych tytułów, odznak i dekoracyi, któremi tak hojnie szafują ich rywalki z obozu torysów.

Powodzenie tych stowarzyszeń jest bardzo niejednakowe w rozmaitych miejscowościach Anglii. Niektóre z nich liczą już po 1000—1500 członków, podczas gdy inne znowu nie mogą przekroczyć setki i wiodą żywot niepewny jutra. Znaczną większość członków stanowią żony robotników, ale kierownictwo spoczywa w ręku kobiet z klasy średniej, które nadają ton stowarzyszeniu. Nie brak tu całkowicie i pierwiastka arystokratycznego, ale nie odgrywa on tutaj znaczniejszej roli, pod względem zaś liczby urodzonych arystokratek, stowarzyszenia liberalne nie mogą się wcale porównywać z ligą. A wskutek tego i fundusze stowarzyszeń, żyjących przeważnie z drobnych wkładek swych członków, są szczupłe, choć podnieść tu potrzeba, iż te kobiety z ludu płacą regularnie, co zasługuje na tem większe uznanie, iż stowarzyszenia nie dają swym członkom tych rozrywek i zabaw, których dostarcza liga. Jest przecież w tych kobietach ciężkiej pracy wiele powagi politycznej i żarliwości niemal religijnej, a wiele z nich okazuje istotny zapał dla wiedzy i chęć przeniknięcia w ową dotychczas tajemniczą dla nich dziedzinę życia, która zowie się polityka. To w y k s z t a ł c e n i e p o l i t y c z n e, które jest jednym z głównych celów owej organizacyi liberalnej, osiąga się zapomocą: zgromadzeń, konferencyi i broszur politycznych.

Zgromadzenia prawie nigdy nie bywają b. liczne. Mają one raczej charakter zebrań prywatnych, bardzo rozmaitych co do formy, poczynająć od znaczniejszych zebrań w salonach aż do zwykłych wieców po wsiach, gdzie kobiety wiejskie zbierają się w izbie lub kuchni, aby wysłuchać jakiejś emisaryuszki politycznej albo poczytać wspólnie gazetę przy akompaniamencie głosów zwierząt domowych. Często prowadzi się dyskurs polityczny przy szyciu (t. zw. Sewing meetings) lub innych robotach gospodarskich. Ale najczęściej występują na zebraniu politycznem, jak zresztą i u ligowców, produkcye wokalne lub instrumentalne, ale już brzuchomowstwa, magii itp. zabaw protegowanych specyalnie przez torysów.

Trzeba jednak zaznaczyć, że i stowarzyszenia liberalne nie utrzymały się na wysokości szerzenia poważnego wykształcenia politycznego wśród szerokich kół społeczeństwa angielskiego. Zrobiono na tem polu dość wiele, znalazło się spore grono osób z zapałem i energią siejących zdrowe ziarno myśli politycznej i poczucie obowiązków obywatelskich po całym kraju, przenikając aż do ubogich chat wiejskich. Ale trudności takiej propagandy są olbrzymie, a na drodze jej stanęły prócz tego i czynności wyborcze, które zaabsorbowały panie liberalne w tej samej mierze, co i damy z »Ligi pierwiosnka«.

I w obozie liberalnym bowiem te stowarzyszenia kobiece stały się jakby dalszym ciągiem tylko organizacyi partyi liberalnej. I te panie — liberalne, że się tak wyrażę — biorą czynny udział w *canvass* z tą tylko różnicą, iż partya liberalna w czasie wyborów mobilizuje nietylko szeregi *ladies,* pań z towarzystwa i inteligencyi, ale korzysta z usług i kobiet z ludu, które nieraz dały już dowody nadzwyczajnej gorliwości i energii. Jedne i drugie przemawiają na mityngach wyłącznie kobiecych i na ogólnych zgromadzeniach obok mówców mężczyzn. Gdy chodzi o wybory do tych instytucyi samorządu, w których kobiety posiadają prawo wyborcze, agitują one przedewszystkiem na korzyść swoich kandydatek. Na zgromadzeniach przy wyborach do parlamentu kobiety ze stowarzyszeń liberalnych przemawiają często i skutecznie w sprawach mających oprócz znaczenia czysto politycznego pewną doniosłość moralną i społeczną (gdy np. chodzi o sprawy irlandzkie, o ograniczenie handlu trunkami itp.).

Krasomówstwo polityczne ma więcej przedstawicielek w tych stowarzyszeniach liberalnych, aniżeli wśród dam z pierwiosnka. Te ostatnie liczą głównie na urok swego stanowiska społecznego i fortuny, działając głównie ukazywaniem na widok publiczny swoich osób. Ale i w obozie liberalnym ilość tych oratorek nie wystarcza na potrzeby

np. w okresie wyborczym i nieraz dobra mówczyni musi jeździć po rozmaitych okręgach, w których brak sił miejscowych.

I na polu codziennej, powszedniej roboty partyjnej, jak np. utrzymywania list wyborczych, stosunków z pojedynczymi wyborcami itp. działalność stowarzyszeń liberalnych z roku na rok rośnie, chociaż co do skuteczności nie może iść w porównanie z działalnością pań z ligi.

A prócz tego w stowarzyszeniach liberalnych jądrem niezgody staje się coraz to bardziej kwestya politycznego równouprawnienia kobiet, aczkolwiek dotychczas jeszcze większość członków stowarzyszeń jest temu dążeniu przeciwną i nie pozwala emancypantkom opanować tych instytucyi.

Do czasów więc ostatnich federacya stowarzyszeń była całkowicie na usługach partyi liberalnej. Ale gdy w r. 1892 Gladstone tak energicznie wystąpił w parlamencie przeciw wnioskowi politycznego równouprawnienia kobiet, nastąpił długo tajony wybuch. Zwolenniczki równouprawnienia, — którym w tymże czasie udało się pozyskać w Radzie federacyi większość, wystąpiły z oskarżeniem, iż partya liberalna wraz z jej *leader'em* Gladstonem tylko eksploatuje cały ten ruch kobiecy dla swoich czysto partyjnych celów. Umiarkowana mniejszość Rady, wierna kierownictwu partyi liberalnej, usunęła się, tworząc nową organizacyę, która kwestyą praw politycznych dla niewiast wcale się nie zajmuje. Nowa ta organizacya przeciągnęła na swą stronę pewną ilość stowarzyszeń lokalnych, ale znaczna ich większość (więcej niż 400 z ogólną liczbą 80 tysięcy członków) pozostała w dawnej federacyi.

Pewne też rozdwojenie, aczkolwiek nie prowadzące jeszcze do rozłamu, wywołują w federacyi kwestye religijne i społeczne.

Rozłam, który nastąpił w obozie liberalnym z powodu irlandzkiego *home-rule*, powołał do życia partyę liberalnych unionistów, którza również posiadają osobną organizacyę kobiecą, liczącą około 60 sekcyi lokalnych.

* * *

Jak widzimy, w walce, którą prowadzą w Anglii rozmaite odcienie opinii publicznej i gdzie ścierają się interesa różnych klas społecznych, żadna z partyi nie może się już obejść bez partyi niewiast. Aczkolwiek konstytucya usuwa je od udziału w sprawach politycznych, aczkolwiek tradycya i obyczaje narodowe chcą widzieć kobietę tylko u domowego ogniska, partye polityczne na wyścigi wciągają i płeć piękną w wir życia politycznego na przekór konstytucyjnym ustawom i tradycyi narodowej.

Pomimo to, cała ta działalność kobiet, acz bardzo już rozległa, wywołuje jeszcze wciąż surową krytykę ze strony mężczyzn-polityków, upozorowaną tem, że zapalny temperament i uczuciowość kobiet zaszczepić może w Anglii takie niepożądane sposoby agitacyi politycznej, jakich w tym kraju dotychczas nie było i obniżyć poziom jego życia politycznego i politycznej moralności. Przeciwnicy tego ruchu wskazują w końcu również i na ten ciekawy fakt stwierdzający poniekąd ich obawy, że agitatorska działalność w wielkich partyach politycznych pociąga kobiety daleko bardziej od spokojnej pracy w tych instytucyach samorządu, gdzie kobiety już zdobyły prawo wyborcze, czynne i bierne.

Zygmunt Poznański.

KRONIKA.

W obronie własnej. Pani Marya Konopnicka w artykule zamieszczonym w «Kuryerze Lwowskim« z d. 28 stycz. rb. potępiła z nadzwyczajną bezwzględnością »Nowe Słowo« za artykuł mój w 2 numerze p. t. »Protest«. Zarzuty swoje streszcza p. K. w zdaniu końcowem: »Nowe Słowo garścią starych frazesów usiłuje zasypać płonące ognisko czynu«. Czytelnicy nasi wiedzą, że cały ów artykuł był właśnie nawoływaniem

do »czynu«. — Nie potępialiśmy w nim akcyi protestów, rozumiejąc, że zagranicą gdzie do czynu nie ma sposobności, »słowo może mieć prawie że moc czynu« ale uważaliśmy za swój obowiązek postawić czynną obywatelską służbę w kraju na pierwszym planie. Odwoływanie się *kobiet polskich* do sumień Europy, nie wydawało nam się koniecznem, bo albo te sumienia istnieją i powinny odezwać się same — albo ich niema wtedy odwoływanie się do nich jest bezcelowem. Naród, który mimo ciężkich warunków bytu rozwija się i potężnieje tak, że pod żadnym względem za wolnymi ludami nie pozostał w tyle, może i powinien mieć dość poczucia godności, żeby nie wołać na cztery krańce świata: »patrzcie w jakiej męce bronię mego ducha« bo czyn jego powinien za niego wołać i budzić sumienia, gdziekolwiek one są, a takim czynem była odwaga tych chłopskich dzieci.

W myśl tych przekonań nie przestaniemy nawoływać do postanowienia czynu ponad frazesami bez względu czy one nowe są czy stare. *Marya Turzyma.*

O prawach politycznych kobiet w Austryi miała odczyt p. Kazimierzowa Bujwidowa w Czytelni Kobiecej w Krakowie — przy licznym audytoryum złożonem zarówno z kobiet jak i mężczyzn. Ponieważ zamieścimy ten odczyt w najbliższych numerach »Nowego Słowa« nie streszczamy go dzisiaj. zaznaczamy tylko, że dał on inicyatywę do zawiązania komitetu kobiecego, mającego na celu zorganizowanie wyborczyń krakowskich do Rady miejskiej — celem uchylenia nadużyć do jakich szerokie pole dawało zastrzeżone ustawą głosowanie kobiet za pośrednictwem pełnomocnictw i zobowiązania wyborczyń, których jest około 1200 uprawnionych do głosowania — aby dawały głosy swoje według sumienia i przekonania a nie rzucały ich na pastwę korupcyonistów wyborczych.

O stanowisku prawnem i społecznem kobiety żydowskiej wygłosił w Związku Naukowo-Towarzyskim w Krakowie bardzo zajmujący odczyt Dr. Ig. Süsser. Opierając się na tradycyi historycznej wyciskającej aż dotąd bardzo wybitne piętno na obyczajach społeczeństwa żydowskiego — zaznaczył prelegent w pełnych zapału i głębokiego przekonania słowach — że kobieta żydowska ma dzisiaj daleko dogodniejsze i łatwiejsze pole do kształcenia się i oddziaływania dodatniego na rodzinę niżeli mężczyzna, zwłaszcza w sferach niezamożnych, gdzie władza kościelna bardzo silnie jeszcze kontroluje mężczyzn — nie troszcząc się wcale o kobietę i pozostawiając jej tym sposobem daleko większą swobodę działania. Dr. Süsser wyraził nadzieję, że kobiety żydowskie potrafią wyzyskać tę swobodę dla podniesienia kulturnego i etycznego swojego społeczeństwa — a gorące oklaski jakimi go darzyła tłumnie zgromadzona publiczność — stwierdziły, że na dobrych chęciach do spełnienia tego posłannictwa kobietom żydowskim nie zbywa. Oby te dobre chęci czynem i życiem się stały.

W styczniowym (1902) zeszycie „Lublańskiego Dzwonu“ ogłosił p. Iwan Prijatelj artykuł p. n. *Marya Konopnicka* z powodu najświeższego jej tomika poezyi »Italia«. Pieśniarkę naszą stawia autor słoweński tuż za Mickiewiczem i Słowackim, podnosi jej zamiłowanie w podróżowaniu, jakie cechowało panią Staël. Italię poznała i odczuła tak dokładnie jak Sienkiewicz. Zachwycony jej pieśniami Słoweniec przełożył w całości 8 pieśni i sonetów z omawianego zbiorku. Wrażenie »Italii« określił w tych słowach: Z »Italii« Konopnickiej wieje spokojna i czysta liryka wielkiej niewiasty, która ci w uchu dźwięczy czarownie, chwyta za serce i duszę głaska. Czujesz: przed tobą idzie niewiasta. I ty postępujesz za nią z oczyma zamkniętemi jakby bez żądz, bez pragnień, bez ciała, lecz bezgranicznie szczęśliwy, że możesz iść za nią z oczyma utkwionemi w nią, słuchać jej kroków cichego odgłosu, stąpać, gdzie jej stopa się dotknęła... Dalej i coraz dalej idzie jej droga, dalej i coraz dalej idziesz za nią bez mocy... Przy ostatnim jesteście kroku: Przed wami milczy »głucho« »Mare Morte«.

W takim nastroju i z takiem uczuciem pisany jest cały artykuł p. Prijatelja. *J. F. M*



HELENA ZAKRZEWSKA.

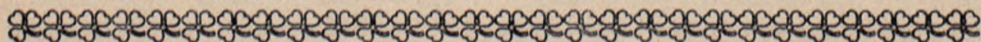
DLACZEGO PYTAĆ...

Dlaczego pytać sfinksa? Milczący i niemy
Niech patrzy w nas oczyma pełnemi pogardy.
Motyli jednodniowych rój nikły a hardy —
Napróżno tajemnicę z ust mu wydrzeć chcemy.

Tysiącami padamy na kamienne złomy —
Śniegiem skrzydeł zasłana wielka przestrzeń świata —
Jednodniowych motyli gromada skrzydlata —
Krzykiem chcemy ożywić posąg nieruchomy.

Przyjdzie czas, że się cała równina zabieli
I tylko jeden biały motyl pozostanie,
A ostatnie, przedśmiertne skrzydeł jego drganie
Kamiennemu sfinksowi tchnień swoich udzieli.

I wtedy sfinks się zbudzi i słowy głośnemi
Tajemnicę swą w owej wypowie godzinie
Lecz głos jego bez echa w mgłach przestworza zginie...
I będzie sfinks mówiący — pośród niemej ziemi.



WANDA DALECKA.

NIEWIEŚCIE DUSZE.

FRAGMENT PSYCHOLOGICZNY.

Popłynęły dni jednostajne, jak dawniej, oddane nauce i pracy; hrabianki kształciły się w domu pod kierownictwem najlepszych sił pedagogicznych, oraz pod czujnem okiem Renaty, która w najdrobniejsze szczegóły, dotyczące sióstr, sama wchodziła troskliwie.

Tylko w trybie życia jej samej zaszły niemałe zmiany. Drzwi od pokoju matki były już mocno zamknięte i Renata mogła spokojnie spać w swym pokoiku, nie nasłuchując odgłosu dzwonka, poruszanego słabą ręką chorej, a w dzień nie troszczyć się o te tysiące zabiegów, jakich pielęgnowanie chorych wymaga.

A jednak teraz bardziej niż kiedy sen odbiegał młodych jej oczu. Tęskniła za tym dzwonkiem, budzącym ją nieraz pokilkakrotnie, i za temi godzinami południa, które w pokoju chorej spędzała.

Nieraz, odprawiwszy służącą, sama zanosiła matce śniadanie, tak szczupłe, że ptaszek ledwo mógłby się niem posilić. Przysiadłszy na krawędzi łóżka, małemi szczyptami do ust jej podnosiła, do drobnych ust zbielałych, podobnych do płatków uwiędłej róży. I musiała jeszcze prosić, nieraz żartem przymuszać lub uśmiechem, mimo łez w piersi tłumionych, aby te biedne usta otwarły się dla przyjęcia drobnego posiłku.

Po śniadaniu, ubrawszy chorą, prowadziła na małą kanapkę, otulała jej nogi ciepłym szalem, przysuwała stoliczek z bukietem róż, świeżych zimą i latem, które chora namiętnie lubiła, poczem brała książkę i usiadłszy naprzeciw, czytała. Głos jej brzmiał spokojnie i cicho, czytanie trwało godzinę, czasem więcej, aż wreszcie nieruchomość chorej dawała znać, że nikt już nie słucha.

Wówczas składała książkę i oczy na matkę zwracała. Z tej głowy wspartej o poduszki kanapy, cudnie kształtnej i małej, z twarzy kamiennie białej o rysach przepięknego posągu, zdawało się, że wszelkie tchnienie życia uciekło; usta były bezbarwne i oczy wpół przysłonięte szeroką powieką, świeciły z pod złotych rzęs martwem szkliwem źrenicy bez życia i blasku. Młoda dziewczyna wiedziała jednak, że nie jest to jeszcze śmierć, ale też nie jest i życie; więc tylko składała ręce na kolanach i patrzyła tak długo w twarz matki, aż jej samej powieki ciążyć zaczynały i łzy jedna za drugą cicho na kolana spadały.

Po niejakimś czasie chora budziła się; wypijała nieco chłodzącego napoju; czasem przeszła się po pokoju, czasami mówiła, nieraz dość żywo, nazbyt gorączkowo — i nagle wejrzenie jej zaostrzało się, ruchy stawały się porywcze, oczy z wyrazem prośby, rozkazu i najwyższej rozpaczy wbijały się w twarz córki.

Wówczas biedna dziewczyna z zaciśniętemi ustami, z twarzą pobladłą, wstawała spiesznie, szła do małej szafki w rogu przy łóżku umieszczonej, otwie-

rała ją kluczykiem, który zawsze na piersiach nosiła i sama własnoręcznie przyrządzała ukochanej chorej ów straszliwy jad, który ukrócał jej życia, obierał ze wszelkich uczuć, nieraz myśli trzeźwej pozbawiał, ją zaś samą pozbawiał macierzyńskiego serca, młodość jej ze wszelkiego wesela obierał i nad całym domem kir smutku i wstydu rozciągnął. Od lat kilku hrabina zażywała morfinę, a czyniła to tak namiętnie i w tak wielkich dozach, że w krótkim czasie z pięknej, pełnej życia, rozkosznej kobiety, stała się ruina, szybko zdążająca do ostatecznego rozkładu.

Napróżno nieraz Renata chwytała się najrozmaitszych środków, aby omamić chorą; ta nie patrząc i nie słysząc, dziwnem instynktem jasnowidzenia, odgadywała zmniejszenie dawki lub zamianę — i wówczas następowały rzeczy tak straszne, że nieszczęśliwa dziewczyna, mimo całego hartu duszy, podołać im nie mogła.

Wzywani lekarze przepisywali długą i staranną kuracyę, lecz było zupełnie niemożebnem nakłonić chorą do czegośkolwiekbądź, coby odciągnęło od nieszczęsnego nałogu. Jedno tylko zaledwie mogła wymódz Renata na matce, to powierzenie klucza od zapasów morfiny; lecz za to sama musiała wydzielać dawki, jakich chora żądała.

Nigdy, w ciągu całego życia tak blisko z sobą nie były, matka i córka. jak podczas tych lat ostatnich choroby. Pod koniec zwłaszcza zdawało się, że stanowiska ich zamieniły się: ona to, hrabianka Renata, stawała się najczulszą i troskliwą matką, a ta ostatnia słabem, chorem, rozpieszczonem dziecięciem. Względem młodszych córek hrabina zdawała się obojętnieć zwolna, coraz rzadziej żądała je widzieć, na Renatę jedynie zdając wszelkie dokoła siebie starania. Było w tem coś ze ślepego oporu ginącego człowieka, który rozpacznie trzyma się jednego przedmiotu, lub z niepokoju chorego dziecka, które cierpi i obawia się. Renata jasno zdawała sobie sprawę z takiego stosunku; oddała się zupełnie pielęgnowaniu chorej, a uczyniła to tem gorliwiej, że czuła jakby teraz zaledwie posiadała całkowicie ukochaną matkę.

Hrabina prowadziła życie nazbyt ruchliwe, aby jej wiele czasu pozostawało dla dzieci. Widywały ją one w przelotnych chwilach, między jednym wyjazdem i drugim, pośród chaosu rautów, wizyt, teatrów. Prócz tego, między niemi — dziećmi i nią — matką, stało zawsze mnóstwo ludzi obcych, bliżej i ściślej ją otaczających. Lecz ta matka, mało znana, bardziej wymarzona, była dla Renaty uwielbianym i nad wszystko ukochanym ideałem dobroci i piękna. Znajdywała zupełnie słusznem to uwielbienie, jakiem wszyscy ją otaczali; czułaby się dotkniętą, jeśliby miało być inaczej. W ciągu całego dzieciństwa, nie doznały córki cierpkiego obejścia się lub niecierpliwego słowa od matki. Kiedy wpadała do ich dziecinnego pokoju uśmiechnięta, strojna, wonna, zdawało się im, że spłynął nagle obłok wesela i szczęścia: Otaczały ją wiankiem drobnych rąk, głaskały ją, szczebiotały głośno, a ona śmiejąc się również, obsypywała je gorącymi pocałunkami, sama jak dziecko bawiła się z niemi, spełniała ich

wszystkie dziecinne życzenia i do żywo bijącej, ciepłej piersi, przytulała ich szczęśliwe roześmiane twarzyczki. Lecz chwila potem — i piękne zjawisko znikało; w sercu dziecięcem powstawał ostry żal, a potem długa tęsknota za nową kiedyś chwilą podobną.

Ojca Renata nie pamiętała prawie; rzadko przebywał w domu i pozostał dla niej niemal obcym zupełnie. Wie, że był poważnym, ponurym niemal człowiekiem; podróżował gdzieś ciągle, a podczas krótkich bytności w domu, zakopany w książkach, mało z dziećmi przestawał. Szczególną jego czułością cieszył się syn jedynak, brat Renaty, zmarły w młodzieńczym wieku. I ten ojciec nieznany tak samo niespostrzeżenie zniknął z jej życia, jak mało miejsca w niem zajmował; zmarł podczas jakiejś podróży na dalekim Wschodzie, a wieść o jego zgonie przyszła równocześnie z urodzeniem się najmłodszej siostrzyczki i radość z jej zjawienia się była o wiele żywszą, niż smutek z utraty tego dalekiego, mało znanego ojca.

Siostry wszystkie, pomimo, że Renata starszą była o lat pięć, żyły z sobą w najlepszej harmonii i rozumiały się doskonale. Rozdźwiękiem jedynie w ich gronie był brat. Przyjeżdżał z instytutu od czasu do czasu na krótko; pozostał dla nich tak obcym jak ojciec. Kiedyś, za życia ojca, Renata pamięta, że było inaczej. Wtenczas syn był po matce główną osobą w domu i ojciec psuł go nadmiernem pobłażaniem. Chłopak z natury krnąbrny i samowolny, nie zgromiony nigdy, stawał się niekiedy nieznośnym. Siostry bardziej się go obawiały niż kochały, wogóle różny był od nich, jakby pisklę z obcego gniazda wyjęte.

Jednak, w dalekiem dzieciństwie, Renata pamięta chwile, kiedy to przykre dziecko umiało być wcale innem. Umiało śmiać się wesoło i długo, umiało szczebiotać zabawne rzeczy, a tak ślepo kochało matkę, że nigdy dość mu nie było jej obecności i w pieszczotach dla niej zdawało się być niewyczerpane i nienasycone. Wszakże dziecinne oko Renaty potrafiło dostrzedz subtelny, prawie nieuchwytny cień różnicy, jaka cechowała stosunek matki do nich, córek, od jej stosunku do syna. Dla niego uścisk jej był krótszy i chłodniejszy, w zabawach i rozmowach z niemi do niego prawie się nie zwracała; jeśli mówiła o nim z ojcem nie nazywała go po imieniu, a mówiła poprostu: chłopak. Kiedy ojca w domu nie było, wszelkie starania o dziecku spoczywały wyłącznie i bez wyjątku w rękach angielki, sztywnej, po męsku surowej wychowawczyni.

Po śmierci męża hrabina w najprędszym czasie zapisała syna do modnego wówczas instytutu w W. »Jest już taki duży, nic z nim poradzić nie mogę« — tłómaczyła się z czarownem zakłopotaniem przed starym przyjacielem domu, hrabią Remigiuszem.

I chłopak odjechał, chłodno pożegnany przez siostry, nie uwożąc ze sobą ostatniego pożegnalnego spojrzenia matki, jak obcy z obcego domu.

Później, w lat kilka potem, gdy Renata doszedłszy lat ośmnastu, zaczynała uczuwać pewną pustkę dokoła siebie — siostry były za młode, a świat matki był jej obcym — myśl jej coraz częściej zwracała się do tego obcego niby

chłopaka, który wszakże bratem jej był i mógł stać się najbliższą dla niej duszą. O rok tylko był od niej młodszy, mogliby się rozumieć doskonale. Zapragnęła poznać go bliżej. Napisała do niego raz i drugi; a chociaż odpowiedzi jego były krótkie i w dziwnym tonie półżartu trzymane, z pośpiechu, z jakim je nadsyłał, zrozumiała, że korespondencya jest mu przyjemną. Potem nastąpiła długa przerwa milczenia; Renata nie wiedziała, jak ją tłómaczyć i czuła się przykro dotkniętą; aż naraz przyszedł list, krótki wprawdzie jak zwykle, ale zawierający niebywałą rzecz: prośbę, aby wstawiła się do matki, iżby mu wolno było na całe ferye zimowe do domu przyjechać.

Renata uczuła się niemal szczęśliwą. Pozna więc zbliska i dokładnie tego zagadkowego brata, już młodzieńca o rozwiniętym umyśle i głębokiej zapewne duszy, jak wymarzyła z krótkich jego odezw. Zbliżą się z sobą, będą podzielać swe myśli i plany na przyszłość; już ten fakt, że chce na długo przyjechać i że z tą prośbą zwraca się do niej, mówił jej i o zaufaniu do niej, szczególnie o rodzinnych jego uczuciach. Naturalnie, prosiła matki gorąco, a że ta prośbom jej nigdy nie odmawiała, więc przyjazd jego został postawionym.

Z niecierpliwem wzruszeniem oczekiwała przybycia brata. Sama doglądała urządzenia dla niego pokoju; własnoręcznie ustawiała mnóstwo drobiazgów i sprzęcików. starając się, aby było tu nie tylko pięknie i wygodnie, lecz zacisznie i swojsko, aby ten, kto tu zamieszka, uczuł się zaraz pod rodzinnym dachem, wśród miłych wspomnień dzieciństwa i drobnych pamiątek od drogich osób.

Przyjechał wreszcie. Wszedł w czasie wieczerzy zupełnie niespodziewanie, przez drzwi od kredensu, nie oznajmiony przez nikogo. Zatrzymał się na chwilę w progu i nieśmiałem spojrzeniem wodził po zebranej dokoła stołu rodzinie. Zdawało się, że przeprosi wkrótce, iż śmie tu wchodzić. Renata w pierwszej chwili go nie poznała, tak urósł i tak nadmiernie wybujał. Uczynił kilka kroków onieśmielony i niezręczny, sam nie wiedział, co mu z sobą zrobić wypada i — naraz Renata go poznała, przejęło ją przykre, bolesne uczucie, powstała z krzesła i szybko zbliżyła się ku niemu. Uścisnął tylko jej rękę, wszakże twarz rozpromieniła mu się ogromnie. Matka brzegiem ust dotknęła jego włosów. kiedy pochylał głowę, aby ucałować jej rękę. Zadała mu parę pytań, odnoszących się do przebytej drogi, zmiany pociągów i t. p. Odpowiedział krótkiemi słowami; Renata wskazała mu miejsce obok siebie; usiadł prędko na brzegu krzesła. Dokoła stołu zapanowało przykre milczenie.

Renatę gniewało mocno, że ona sama nie potrafi wynaleść wątku do rozmowy. W duszy miała dużo słów, ale takich w pierwszych chwilach widzenia się nie mówi. Zresztą, w wyobraźni ten brat wymarzony był jej bliskim — teraz, gdy miała go przy sobie, czuła, że jest dla niej obcym zupełnie. Musiała przyznać sobie, że go nie zna i było jej to nad wyraz przykrem.

Na szczęście, po niedługiej chwili z przedpokoju rozległ się głos dzwonka i do salonu gwarnęło gwarne towarzystwo z kilku osób złożone, młodych

kobiet i mężczyzn. Wpadli zabrać na zaimprowizowaną niespodzianie przejażdżkę hrabinę Cecylię, bez której żadna zabawa udać śię nie mogła. Dom napełnił się od razu gwarem, śmiechem i życiem. Hrabina porwała się od wieczerzy i wybiegła powitać przybyłych. Wychodząc, zostawiła za sobą drzwi nawpół uchylone. Przez perspektywę mniejszego salonu można było ją widzieć, jak śmiejąc się wesoło, ściskała wyciągające się do niej dłonie, jak poruszała się lekko i żywo, jak zapinała woalkę na zgrabnym kapelusiku, jak pozwoliła otulić się w szal dokoła szyi i zapiąć się w płaszczyk, aż do ostatniego u nóg guzika, przy którym zapinający musiał już klęknąć. A potem, śmiejąc się zawsze i szczebiocąc głośno, wybiegła otoczona swym dworem, nie rzuciwszy spojrzenia w stronę jadalnego pokoju, gdzie dokoła stołu siedziały zgromadzone jej dzieci i między niemi ten, nowoprzybyły.

Chłopak obrócił głowę i bystro z pod ściągniętych brwi przyglądał się wszystkiemu, co działo się w salonie. Gdy drzwi za wychodzącymi się zamknęły, patrzał w nie jeszcze; a potem nisko czoło pochylił i w zamyśleniu pił zwolna herbatę. Twarz jego stała się chłodną i nieprzeniknioną, jak kamień.

Takim był jego powrót do rodzinnego domu.

Czy Renatę spotkało rozczarowanie? I tak i nie. Brat ten o wiele był starszym duchowo, niż oczekiwała, jednak było w nim coś, co zbliżyć się do niego nie dało. Widocznem było, iż jest mu przyjemnie, gdy siostra przychodzi do niego lub wszczyna z nim rozmowę; sam nawet szukał niekiedy jej towarzystwa i z wdzięcznością przyjmował wszystkie drobne jej usługi; a jednak jakaś wielka, nieznana obcość, leżała między nimi i nie dała przystępu szczerej braterskiej otwartości. Renacie wciąż się zdawało, jakby w tej zamkniętej duszy krył się jakiś ciężki, tajony ból.

Chciwie chwytał każdą sposobność, aby znaleść się przy matce; gdy jednak dłużej był w jej towarzystwie chmurzył się, niekiedy bladł wyraźnie — tem silniej, im więcej gwaru i wesela było dokoła — usta zacinał i przykry wyraz nito zaciętości, nito szyderstwa, twarz mu wykrzywiał.

Obecność jego naprowadzała na cały dom niemiłą posępność i jakiś głuchy, niewyraźny ciężar spoczywał na wszystkiem i na wszystkich. Wreszcie pewnego dnia wyjechał niespodzianie, prawie nie żegnając się z nikim, nawpół chory. Napróżno zatrzymywała go Renata; zabronił mówić matce o niezdrowiu i wysunął się z domu również niespostrzeżenie jak doń przybył. A wkrótce potem nadszedł list z instytutu, zawiadamiający o niebezpiecznym jego stanie. Matka pojechała natychmiast, ale już go uratować nie mogła.

Czy śmierć jego była przyczyną, że odtąd tak wszystko zmieniło się w ich domu? Matka wróciła znękana i tak zmieniona, jakby w niej dusza nagle zastygła. A potem wszystko poszło inaczej. W ciszy, w swym skromnym dworku, bez przyjaciół i znajomych, żyły w rozmyślnem osamotnieniu. A potem jeszcze przyszło tamto — nieszczęście; matka gasła ciągle, aż oto odeszła już od nich na zawsze...

C. d. n.

TRYUMF...

Zagrać chciałeś na mojej duszy — ale struny nie wydały dźwięku.

Zatargać chciałaś moje nerwy — ale porwane znalazłaś.

Chciałaś stworzyć pieśń zemsty z moich wspomnień, ale zgasły już one dawno.

Jesteś kobietą i nienawiści mojej znieść nie mogłaś. Z dumnej, samotnej, wybranej — stałaś się małą, głośną, pospolitą; i to dlatego, by się zagłuszyć, upić, oszołomić.

Dawniej grałaś tylko dla mnie swą pieśń, tylko ja słuchałem szeptów Twego serca i patrzyłem na szamotania twej duszy. Dziś grasz dla wszystkich. Zasłuchany w dźwięki, co płynęły z pod palców twoich, leżałem jak pies przy tobie; obłęd miłosny zatapiał swe szpony w wezbraną krwią szaleństwa świadomość moją. A potem cisza, ogromna cisza stawała się koło nas; ja obejmowałem kolana twoje, tuląc je do rozpalonych skroni. Żary twej pieśni lały się w moją krew i ssały z niej życie. Konwulsyjnie zaciskałem twe ramiona i patrzałem w twoje oczy, w twoje szeroko rozwarte, tajemnicze oczy i przebijałem je mojem pragnieniem i mą żądzą i mem szaleństwem.

Ty nie słyszałaś, jak we mnie każda kropla krwi grała tysiącem pożądań i jak moja dusza na wszystko głuchą była, prócz głosu pieśni twojej. Odeszłaś mnie, com ci życie w ofierze złożył i mą młodość i moje nadzieje i moje siły... Zostałem sam. I byłem opuszczony jak wierzba przydrożna, jak cyprys nad grobem samobójcy...

Po samo dno zanurzyłem się w wir życia — życia, co nurza w błocie i z bagna w bagno strąca i z jednej rozkoszy przerzuca w drugą, nie dając ani jednej chwili szczęścia, ani jednego oddechu, aby nie dławił, ale zato nienawiść i pogardę dla siebie i innych.

Porzuconego na brzegu rozpaczy znów mnie znalazłaś. I wtedy litość cię zebrała; żal ci się stało tego życia młodego, co zginęło przez ciebie — uczułaś skruchę. Stałaś się siostrą miłosierdzia dla mnie. Hahaha! Chodziłaś zemną po ogrodzie i opowiadałaś miłośnie dawno niesłyszane, jakby z innego świata: »Zapomniane baśnie«. I pieśń twoja i twa dobroć koiły mój ból i mą słabość, ale okrywały zarazem mą duszę ciężką mgłą smutku i żałoby za utraconem życiem.

Kochałaś mnie teraz, jak ja ciebie dawniej.

Ale w mem sercu były już tylko popioły, świadki przeszłości, którąś mi sobą wydarła. Miałem w sobie jeszcze tylko nienawiść.

I przyszła chwila, gdziem pomścił moje życie.

Teraz ty kładłaś się u moich nóg i czekałaś na jedno spojrzenie, na jeden uścisk miłości. Ustami wpijałaś się w moje ręce i resztki krwi z nich ssałaś. Moją służebnicą być chciałaś — psem, którego się od czasu do czasu głaszcze. Błagałaś o jedną łaskę: bym cię tylko nie odtrącił od siebie, nie odpędził.

A ja nienawidziłem cię teraz, nie za mój ból i mą mękę, ale zato, że ta nienawiść rozkoszą mi była, szczęściem. Ukochałam ból i rozpacz. Wszystkoś mi oddawała, a nic nie wziąłem. Siedziałaś przy mnie iskrząca miłością, przegięta namiętnem pożądaniem, a ja miałem dla ciebie tylko uśmiech ironii, co zawisł na drgających, bladych wargach.

Wiłaś się jak wąż, a ja nie miałem nad tobą litości, tak i ty jej nie miałaś wtedy nademną, gdyś mi rzuciła to przeklęte: nigdy!

Szukając mej ręki, by się jej dotknąć — konałaś.

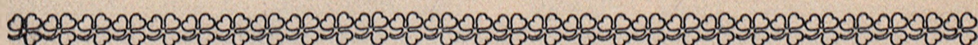
Wszystkie katusze, jakieś mi dawniej zadawała, ożyły w mej pamięci i jawiły się jako pożądania... już nie ciebie, ale twojej męki. Twa męczarnia była mi teraz życiem, twoja żądza nieugaszona zadośćuczynieniem za wszystkie me przeszłe cierpienia; każde twe spojrzenie, błagające o litość, było mi zapłatą, za me lata młode. I w tej chwili poznałem rozkosz najwyższą. O! nie jest nią miłość! Serce twoje marło w moich oczach, a ja miałem na tyle siły woli, by je zdeptać i zdusić. Czepiałaś się moich nóg i splatałaś je kurczowo drżącemi ramionami, a ja stopą odtrącałem cię — i gdybym był mógł byłbym cię smagał prętem po obnażonych pięknych plecach. Twa krew z ran tryskająca, byłaby mi życiem może nowem...! Dziś przyszłaś się mścić za ten wieczór, przyszłaś mi w twarz pluć pogardą i wołać na cały głos: »nie kocham cię i nie kochałam cię nigdy, to wtedy, to była tylko chwila obłędu!«

Czy myślisz, że ja ci wierzę! Dobrze rozumiem twą walkę bezsilną. Tyś nie zapomniała o mnie i nienawidzić mnie sił nie masz. Jestem wyższy od ciebie i to jest mój tryumf — — !

To, co robisz, to jest szamotanie tylko, delirium rozpaczy, obłęd...

Ja zapomniałem o tobie i znienawidziłem cię, a ty ani zapomnieć, ani znienawidzić nie potrafisz, bo jesteś kobietą.

A kobieta kocha wiecznie tego, którego raz ukochała. *A. Schiffmann.*



LITERATURA ZAGRANICZNA.

Richard Le Gallienne: *The Worshipper Image.* London, 1901.

Jestto autor prawie wcale u nas nieznany. Pochodzi z rodziny Dickensów, a ze szkoły Carlyle'a i M. Mereditha, tylko, że dla Dickensa typ jest wszystkiem, dla Meredith'a i Le Gallienne'a idea. Dlatego Dickens tworzył powieści obyczajowe, Le Gallienne powieści, które możnaby dla braku innego miana, nazwać intelektualnemi. Jestto może »rozwój« zupełnie naturalny — trzeba uprzytomnić sobie Prusa i Żeromskiego. Stosunek będzie prawie taki sam. Tylko, że Żeromski ma wiele goryczy w swoim uśmiechu, wiele niepokoju i melancholii, Gallienne ani goryczy, ani niepokoju, ani melancholii swojej nie bierze na seryo. I nie pisał Żeromski wcale powieści obyczajowej, ani społecznej, robią mu zarzuty z powodu rzeczy, których nie zrobił, Żeromski poprostu nie może takiej powieści napisać, jest zanadto lirykiem, a gdzie mu się zdaje inaczej, wpada w statystykę, którą można wyciąć! — Le Gallienne jest nawskróś artystyczny. — Ale te uwagi

»krytyczne« są obojętne — Le Gallienne należy do rodziny marzycieli: jeszcze o Marzycielu... o tej dziwnej istocie, która zawsze widzi na dwie strony. Marzyciel i miłość, marzyciel i sztuka, marzyciel i rzeczywistość, marzyciel i ideał, to zawsze dwie rzeczy, chociażby nawet »rozumiał«, że miłość, sztuka, ideał to jedno —; on jednak zawsze jest drugim. Stosownie do swojej natury mięszanej jest naprzemian otoczeniem i sobą: zdarza się więc, że sam czasem jest nierzeczywisty, jest obrazem i cieniem rzuconym na ekran »Czasu«. Rzeczywistość zawsze ma za wroga — albowiem rzeczywistość, to Jedność, obecność, śmierć. Stąd tak często zupełną ma pustkę, ilekroć rzeczywistość się zbliża, obejmuje, ilekroć więc sam staje się rzeczywistym, ilekroć »poczuje siłę«, jak mówią językiem bieżącym. Marzyciel musi mieć ideał, to znaczy musi być zawsze we dwoje, żeby utrzymać się przy życiu; gotów nawet — wybaczcie mu, bo nie wie co czyni — zabić rzeczywistość, zamienić ją na obraz, na słowo, na cień, które nie już »przedstawiać« mają Rzeczywistość, ale być samą Rzeczywistością, byle utrzymać się przy życiu, przy pragnieniu porzucenia życia, obecności, siły! Wiadomo: gdy tę grę swojej fatalności niedorzeczną dostrzeże, ustanowi panem swego istnienia Uśmiech, znaczy zgodę; zacznie wyszukiwać w każdem drgnieniu niedorzeczność tego drgnienia i niedorzeczność swego wyszukiwania. Byleby nie »urzeczywistniać« Ideału, albowiem wówczas, niema życia, niema uciekania, niema co robić jednem słowem, albowiem wówczas trzeba umrzeć, *sans phrases*. Zamienia się na artystę — »świadomego swych środków, celów itd.« — tworzenie artystyczne służy do nieurzeczywistnienia ideału, do odsuwania go daleko: tak więc tworzenie okazuje się Zamykaniem oczu, ale na to niema rady, umrzeć bowiew także jest produkcyą, ostatecznie! — Takim Marzycielem czyli poetą jest Richard Le Gallienne: poetą niedorzeczności. Kogo przedstawi w powieści, w romansie w noweli taki Marzyciel? Drugiego marzyciela, tylko nieświadomego, więc szarpiącego się, niespokojnego, albo też nawskroś ślepego: któremu na każdym kroku będzie nogę podstawiał, albowiem opanował go i patrz nań z góry. — *The Worshipper of the Image*, to marzyciel ślepy, taki, który rzeczywistość zamienił w słowo zaklęte i to słowo ustanowił rzeczywistością. Ma żonę i córeczkę. Pewnego dnia znalazł u antykwarza płaskorzeźbę, główkę kobiecą — o tajemniczym wyrazie i uśmiechu — która zupełnym była portretem żony. Kupił ją, zaniósł do domu i nazwał Silencieuse. Porzucił życie miejskie, zamieszkał wśród lasów i tam otoczył ją swym kultem. Miłość żony, swoją wielkością, przyniosła mu widocznie siłę i pustkę, więc, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co czyni, zamienił ją na obraz. (Ta płaskorzeźba nie musi wszak być niczem rzeczywistem!) i utonął w nim zupełnie. Silencieuse milczy, albowiem tak jej nakazuje już samo miano! Marzyciel, to wiadome, nie znosi milczenia, nie znosi tajemnicy, chociaż wie, czy czuje, że tajemnica jest mu zbawieniem, albowiem utzymuje go przy życiu. Silencieuse za przemówienie żąda ofiary: tej jedynej, znaczy istnienia, urzeczywistnienia się. Na taki sposób niebezpieczeństwo zbliża się nieznacznie. Pewnego razu marzyciel zaprowadził córeczkę do Silencieuse: niechaj ją ucałuje. Dziewczynka nie chce, boi się tego zimna. Marzyciel zmusza córeczkę do ucałowania Silencieuse — córeczka z płaczem to czyni. Wkrótce potem zachorowała i umarła. Niebezpieczeństwo widać minęło, jak widać: ideał trzeba było usunąć. Marzyciel otworzył oczy, pogrzebał Silencieuse w lesie nad bagnem, w którym nocą księżyc, ten górny marzyciel! przegląda się w milczeniu, wrócił do dawnego życia u boku żony. Nie na długo, Silencieuse bowiem żyje i pod ziemią — tyle istnień pochłonęła, przeważnie marzycieli, że musi żyć. Wraca więc do niej, odkopuje ją wśród ciszy leśnej i siania księżyca. Chwila, w której już nie masz ucieczki, nadchodzi: z lasu powróci poeta, artysta ślepy — a potem znajdzie w bagnie trupa żony i powie spokojnie: jak jej ładnie z tymi włosy w nieładzie. (Teraz chyba przyjdzie kolej na zabicie Silenciusa, albo na własną osobę, którą w obraz przemienić będzie trze-

ba. Bo właściwie niema już co robić na świecie: ślepota mu się przyda). Le Galliemu w końcowym ustępie usprawiedliwia swego bohatera, nieco sentymentalnie. Balzac (La recherche de l'Absolu) zupełnie o tem zapomniał. Meredith lekko się uśmiecha! Le Gallienne jest jeszcze na pół osobisty, mały odcień powiódłby go już w dziedzinę Mereditha, w atmosferę, w której poruszają się bohaterowie. Dziedzina ta nazywa się Mądrością absolutną, która nie okazuje już żadnego śladu dawnych przejść, która zatem objektywnie patrzy na możliwości i rzeczywistości, które są tamtych zboczeniami. (The Worshipper of the Image najzupełniej określa Le Galienna — bardziej Dickensowski albo może Carlyle'owski humor można znaleść w »The Quest of the golden Gir«, w »The Zion Chapet).

De Stendhal: *Lucien Leuwen*. Paris 1901. Editions de »La revue blanche«.

Dzieło pośmiertne, wydane przez p. de Mitty z prawie zupełnie nieczytelnego rękopisu. Ustęp jeden tylko był drukowany jako odrębna nowela. Resztę zachowano widocznie na r. 1901, na czas, w którym, jak sam się wyraził Stendhal, będzie czytany. De Stendhal zajmował się przedewszystkiem problemem szczęścia. Ludzi dzielił na szczęśliwych i... słabych. Na charaktery i słabych ludzi, nie zaś ludzi bez charakteru. Na takich, którzy świata nie znają, bo sami są światem i nad nim panują i na takich, którzy zdobywają, ujarzmiają otoczenie... szczęście. »Co to za człowiek, który, nie potykając się nigdy z wrogiem, zdala od świata, żyje«. Jest to człowiek schwytany na gorącym uczynku, de Stendhal sam. Nęcą go ludzie szczęśliwi, więc genialni, egoiści... Rossini, Napoleon. Nie brutalni — ludzie ci nie wiedzą wcale, że stają komuś w drodze. Poprostu są niezależni. Inni — kategorya pochlebcy mimowoli, jeżeli tak można powiedzieć, który nawet nic nie wie, że jest pochlebcą — to dziwaczne, nieszczęsne istoty, które nieuchronnie przybierają barwę otoczenia, których otoczenie nagina, zgniata, którzy jednak, o ile czegoś c h c ą, chcą się z pod niego wyzwolić. Zatem do szczęścia dojść można! W każdym razie — zdobywać je można. Dążenie znaczy przedewszystkiem: Przez szczęście nie należy rożumieć błogości, zadowolenia — nie należy wogóle nic rozumieć — lecz chwilę, w której człowiek staje się całością. Powiedzmy odrazu, że chwila ta nazywa się Śmiercią — de Stendhal nie chce tego nigdzie notować, zanadto go wiódł za rękę zmysł Rzeczywistości. Słabi, więc nieszczęśliwi, więc marzyciele, ideologowie wszelkiego rodzaju są zawsze rozdwojeni: otoczenie i człowiek, sztuka i życie (lub naodwrót), to zawsze dwie rzeczy. Dlatego, jeżeli c h c ą, pragną nad otoczeniem zapanować — niebaczni, że raz doznawszy klęski (która może zresztą polegać na samym fakcie przyjścia na świat!), można jeszcze tylko panować zewnętrznie, pozornie, w oczach otoczenia, nie w swoich własnych. Albowiem otoczenie zadaje cios i klęskę, nawet o tem nie wiedząc, nie jest bowiem »wrażliwe«, a jego ślepota przyrodzona może ową jednostkę pchnąć na fałszywą drogę pozorów. Tak zwane doświadczenie i korzystanie z doświadczenia na nic się już wówczas oczywiście nie zda. Trzeba być silnym, trzeba mieć szczęście, charakter, czyli, jak potem się okaże, trzeba mieć pewne Dążenie. Ten paradoksalny tok rzeczy przedstawia de Stendhal życiem Luciena Leuwen, który dziwną logikę konieczności, którą napiętnowani są słabi, schodzi z pola pokonany.

De Stendhal pisał powieści obyczajowe. Ludzie ścierają się w pogoni za bogactwem, za zaszczytami, za pozornem szczęściem świata. W tych starciach wybitne jednostki wyrabiają sobie wrażliwość, znaczy pewną skorupę obłudną, która ochrania szczęście, trzyma zdala niepowołanych, nie da wtargnąć otoczeniu, lecz je przerabia na swoją modłę. Bogactwa i zaszczyty, dla owych jednostek, nie są tu chyba wyrazem szczęścia, nie są celem Dążenia — lecz — lecz obrazem, bardzo rzeczywistym niewątpliwie. De Stendhal nie chciał obrazów w literaturze — pisał sucho, każdy wyraz zmierzał wprost i uderzał w samo serce idei — ludzi ukazywał w walce codziennej nie o idee, a o rzeczy. Skutkiem tego świat idei odgrywa rolę tła — jest niewidzialny, kryje się w jednostce, poza skorupą wrażliwości; wycho-

dzi na jaw w chwilach stanowczych, fatalnych, w których Szczęście zaczyna być Rzeczą, w których różnica i rozbrat między otoczeniem a jednostką zanika. Więc np. w miłości. Lucien Leuwen schodzi z pola pokonany przez miłość. Nie umiał jej kochać w sobie — przerzucił ją na kobietę, którą więc chciał opanować: sposobem ludzi słabych, którzy pragną czego innego, a dążą do czego innego i czynią co innego. Z silnego miał w sobie Dążenie, lecz z słabego świecką próżność, małostkowość, która przesuwa kontury i osłabia dążenie. Uwierzył potwarzy, rzuconej na kobietę, porzucił ją, wyjechał, zwłaszcza, że po bankructwie ojca i uratowaniu drobnych resztek nie miał już nic do czynienia w towarzystwie. Zaczął się pocieszać dziełami wielkich mistrzów.

Ludzie Stendhala — czy to Napoleon, czy Rossini, czy postacie fikcyjne, zawsze to jego ludzie — owi silni — znają jedną tylko formułkę: szczęście, w ślad za którą bieży Obowiązek i Dążenie. Ubiegają się zaś o rzeczy dotykalne. Rzeczy: oto wyraz zagadki. Chcą uchwycić Rzeczywistość, Ideę. Są, jak Julian Sorel (Le rouge et le noir) energiczni: idea, szczęście jest dla nich Obowiązkiem, który góruje nad każdym aktem. Przestaje być tylko formułką; idzie o to, żeby ją zamienić w rzecz, przelać w krew, żeby ją uczynić rzeczą działającą samorzutnie, całkowicie. Można nawet widzieć drogę, po której idzie praca w tym kierunku: Julian Sorel siedzi naprzeciw pani de Rénal. Rozmowa jest zewnętrzna słów i wewnętrzna rzeczy, aktów: »teraz muszę ją pocałować. to mój obowiązek«. Może się to wydawać zimnem, wyrachowanem. Ludzie ci są energiczni, znaczy, że każda sytuacya bierze barwę od nich, barwę szczęścia, ich szczęścia, ideału. Dlatego nie opuszczają nigdy gruntu rzeczy, poprzez które muszą dążenie swe przeprowadzić. Do tego im służy wrażliwość. Zbyteczna dodawać, że główny rysem takich ludzi jest melancholia: błąd urodzenia, potrzeba czynienia, przeprowadzenia przez cały korowód zmiennych przypadłości szczęścia, które dla nieruchomości jest stworzone.

Lucien Leuwen należy do innych, do niespokojnych, nieszczęśliwych: dla niego szczęście jest napół formułką. Grunt rzeczywisty przesłonięty marzeniem. Leuwen jest napół ideologiem — dlatego pozwala otoczeniu wtargnąć w niewłaściwe miejsce — wrażliwy, niema jednak tej wrażliwości, której przewodnikiem jest Obowiązek — wobec szczęścia staje bezradny i rozmyśla, czy należy mu być człowiekiem czy nie. Przegrawszy stawkę miłości, porzuca świat dla samotności. Co mu da samotność? Prawdopodobnie rozmyślania. Nie da mu dążenia — bohaterskiego. Ludzie Stendhala pozbawieni dążenia przestają istnieć, są niczem, zaczynają pracować.

Należałoby napisać monografię de Stendhala: ukazać w nim łącznie rysy wszystkich tych postaci, ukazać absolutny charakter, któremu wszystkiem jest idea, który więc na krok nie odstąpi od siebie, a świat ujarzmi — nie dla próżności lub używania, lecz dla Szczęścia, dla Człowieczeństwa. Połowa książki zapełniona jest polityką: ale i tu naczelny rys występuje, każdy człowiek tu mówi rzeczami, nie słowami, znaczy żyje, czy myślący czy bezmyślny. Na tem sztuka de Stendhala polega.

St. Lack.